NUMER 15. DNIA 13-go KWIETNIA 1902 ROKU ROK X

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

ORZESZKOWA DO KONOPNICKIEJ *).

Moja najmilsza Marychno!

Powiedziano mi, że w girlandę myśli ludzkich, którą cześć powszechna dziś do stóp Twych rzuci, mam prawo wpleść kilka swoich, w formie aforystycznej zamkniętych. Śpieszę, przynoszę; ale dla Ciebie mówiąc, pragnę mówić także i do Ciebie. Na każdej z myśli, ku tobie lecących, niech spocznie, jak pocałunek, uderzenie serca.

Więc naprzód: człowiek jest nurkiem, szukającym pereł w morzu życia.

Tyś w wodach znalazła pereł sznur długi, którym, jak djademem, skronie narodu swego uwieńczyłaś.

Następnie: Orzeł samotny, z górskiego gniazda spoglądając na ziemię, duma niekiedy o szczęściu wróbli, które szczebiocą gromadnie i wesoło.

Weselsze, lżejsze, pieszczotliwsze bywają na nizinach zefirki drobne, niż dumne i szumne wichry, bijące o górskie szczyty; ale cóżby się stało z wróblami ludzkości, gdyby nie posiadała ona takich, jak Ty, orłów?

Stałaby się z nią najpewniej rzecz wielce smutna, gdyż istnieją dwa działy natur ludzkich: chodzący i skrzydlaty; a tych, którzy umieją tylko chodzić, trzeba ciągle potrącać skrzydłami, aby nie zaczynali pełzać.

Ludzkości, oprócz skrzydeł, potrzeba jeszcze dzwonów.

Więc niech nam dzwoni i dzwoni na strunach prawdy i piękna muzyka Twego genjuszu, bo świątynie do połowy jeszcze pustką stoją i połowa świata jeszcze śpi!

Powiadają wprawdzie niektórzy, że serca dzwonów kruszą się i pękają od uderzeń o ściany śpiżowe, o ściany zimne, twarde i nielitościwe; wóz życia zgruchotać go może, ale z serca nie wygna mu Boga.

Nie może również wóz ten wydrzeć Ci siły cudotwórczej, która sprawia, że, jak w baśniach bogowie, tak w rzeczywistości poeci, posiadają dar przemieniania znikomości w nieśmiertelność.

Ani pozbawi Cię klejnotów, złożonych w skarbnicy Twej wielkiej duszy, bo poetką jesteś, a poeta to taki tkacz, który, przez całe życie siedząc nad krosnami, wznosi oczy ku ideałom i od nich bierze wzory dla swych tkanin i światła dla swych ciemności.

*) List ten przytaczamy z ostatniego numeru „Tygodnika Ilustrowanego“, poświęconego uczczeniu dwudziestopięciolecia pracy Marji Konopnickiej, na niwie poezji. Jubilatka, jakiekolwiek panowały w literaturze prądy, szła zawsze prosto za głosem serca, nie dając mu umilknąć ani wówczas, kiedy to świat zdawał się od poezji odwracać oblicze, ani, jak teraz, gdy w świątyni jej inne się rozgościły bogi. To też ideą, kierującą tych wszystkich, którzy pisali do jubileuszowego numeru dla Konopnickiej, powinno było być to, żeby jej dać coś bardzo drogiego, by dać serce za serce, które tak nieustannie gorzało miłością dla wszystkiego, co dobre i piękne. Najbezwzględniejszym, najbardziej niezależnym wyrazem tego jest właśnie list Czcigodnej Autorki „Nad Niemnem“ i dlatego przytaczamy go powyżej.

Do tych należysz, którzy posiedli najtrudniejszą umiejętność ducha, w tem spoczywającą, aby nie tracić nigdy z oczu błękitów niebieskich; i do tych także, którzy — wiedząc, że stosunki z ludźmi, odarte ze złudzeń, to głogi, obrane z kwiatów — mają jednak dla ludzi skrzydła podnoszące i serca grające.

A o tem, co ja w sercu swojem mam dla Ciebie, długo mówić nie będę, ponieważ bywają uczucia, dla których słowo wszelkie wydaje się monetą wytartą i przez liczne dotknięcia zbrudzoną. Więc o tem trzy tylko krótkie wyrazy: Kocham Cię serdecznie!

El. Orzeszkowa.

I TUTAJ MGŁY...

I tutaj mgły...
Dymów opona,
Jesienne słońce tak krwawo kona
W kominów gęstym lesie...
Wieczorny chłodny powiew niesie
Jakieś zszarpane mgliste łachmany,
Niby górnika kaftan zszarzany,
Czy wdowy po nim chusta żebracza...
I wstaje, wstaje, kręgi zatacza,
Zimne całuny nad polem wiesza,
Z siniawą dymów miesza się, miesza
Posępnej doli mgła...

* * *

Od ziemi płynie — ku niebu, w górę,
Przyćmiła słońca krwawą purpurę,
Jak źrenic błyski — łza.
I chłonie wszystkie światła dokoła,
Wilgocią grobów dyszy —
W wieczornej wielkiej ciszy
Przeciągłym jękiem drga,
Bezgłosa skarga w niej woła,
Żali się, łka...
Snuje się krzywdy mgła...

* * *

Ponure pole, dziwne pole),*
Żadną weselszą barwą nie kwitnie,
Wgłębienia jeno — dół przy dole,
Piasek — umarłych ziem gromnica —
Ponure pole.
Tu nie zaszumią fale żytnie,
Ani nasz modrak nie zakwitnie,
Nie spłoną maki i kąkole.
I tylko zeschła, nizka, twarda,
Pożółkła chwieje się trawica,
I wiatr piosenkę śmierci gra,
I ziemia śpi — umarła...
Skarb życia jej wydarła
Człowiecza ręka...
Bladolica
Tu wieczna pustka drzemie
I na zmartwiałą trupią ziemię
Napływa rośna ciężka mgła.

* * *

Tu ludzka dola twarda
Zaklęła w pustosz rolę,
I życia tu pogarda,
I śmierć pod piaskiem czyha,
I jeno trawa licha
Na pole patrzy trupie,
I mgieł się włóczą chusty,
Wieszają się przy słupie,
Skąd bezzębnemi usty,
Na czarnych tablic grozie,
Szczerzą się czaszki trupie —
Zawodzi wicher, łka,
Niedoli płynie mgła...

*) W okręgach górniczych bardzo często spotyka się „zwaliska“ t. j. miejsca, gdzie po wyeksploatowaniu pokładów węgla ziemia grozi zawaleniem. O niebezpieczeństwie ostrzegają tablice z trupiemi czaszkami.

Wydarto z ziemi łona
Skarby węglowych brył —
Zmartwiała, opuszczona,
Znaczona w śmierci słupy,
Gdy słońce krwawo kona
Spowite w dymy, mgły —
Ta ziemia echem drga...
I szemrze trawa licha,
I szepcze coś, i wzdycha,
Wspomina blade trupy,
I krzywdy krwawej łzy,
Zorane troską czoła,
Płuc spracowanych granie...
I wzdycha tak i woła —
Aż wichru powiew wstanie,
I jak upiorne sny,
Na trupiej ziemi łkanie
Posępne niesie mgły...

Marja Markowska.

ANARCHIZM WSPÓŁCZESNY.

(KULCZYCKI LUDWIK: Anarchizm współczesny, st. XVI, 331. Lwów 1902. Polskie Towarzystwo Nakładowe.)

AUTOREFERAT.

(Dok.)

Anarchizm w drugim okresie stał się kolektywistycznym i rewolucyjnym. Okres ten obejmuje lata 1867 do 1879, kiedy Krapotkin rozwinął teorję anarchizmu komunistycznego. Jest on najwybitniejszym jego teoretykiem.

W sposób niezrównany krytykuje Krapotkin współczesny ustrój społeczny, szczególnie parlamentaryzm; nie poprzestając na jego negacji, pokusił on się o skreślenie obrazu przyszłego społeczeństwa anarchistycznego. Ten ostatni wynikać ma z rozwoju społeczeństwa współczesnego, który z konieczności doprowadzi do rewolucji, jak sądzi ten myśliciel. Obecny stan produkcji i poziomu techniki współczesnej umożliwiają, jego zdaniem, natychmiastowe zaprowadzenie komunizmu, którego hasłem jest „każdemu wedle potrzeb“.

Krapotkin robi hypotetyczne przypuszczenie, że w Paryżu i dwu departamentach anarchiści zatryumfują, i usiłuje przy pomocy liczb statystycznych wykazać, że nowe społeczeństwo w oznaczonych miejscowościach będzie w stanie przezwyciężyć wszystkie trudności, na jakie wprowadzenie komunizmu napotka. Krapotkin kolejno rozpatruje kwestje: żywności, mieszkań, odzienia itp. Nie możemy tu rozbierać i poddawać krytyce jego rozumowania; ciekawszych czytelników odsyłamy do naszej książki.

Krapotkin jest rewolucjonistą a nawet terorystą, jednakże przeciwnym stosowaniu zabójstw politycznych na wszystkie strony, przeciwko najróżnorodniejszym osobom, reprezentującym społeczeństwo współczesne.

Krapotkin nie poprzestał na społecznej teorji anarchizmu, lecz napisał jeszcze krótki zarys jego etyki, a jego filozofję usiłował oprzeć na tych ogólnych przeobrażeniach, jakim podległa w ostatnich czasach nauka w różnych swych dziedzinach, poczynając od astronomji, a kończąc na socjologji.

Krapotkin jest wybitnym geologiem.

Jego przyjaciel i towarzysz, znakomity geograf Reclus w ciekawej pracy o „ewolucji i rewolucji“ usiłuje udowodnić, że pierwsza poprzedza i umożliwia drugą, która ze swej strony stanowi początek dalszego rozwoju. Ewolucja nie jest więc przeciwieństwem rewolucji. Reclus przytacza przykłady tej ostatniej w naturze. Krapotkin, Reclus i Grave są zupełnie konsekwentnymi anarchistami i w swych ideałach społecznych nie zatrzymują nic, coby przypominać mogło organizację państwową i rząd.

Natomiast anarchista Maloto widzi trudności, jakie ideał jego napotkać może i przypuszcza, że socjalizm będzie formą przejściową do anarchizmu, na co znowu wzmiankowani wyżej teoretycy anarchizmu nie zdają się godzić.

Autor rozpatruje kolejno poglądy innych teoretyków rewolucyjnego anarchizmu współczesnego, jak Mosta, Saurena, Cornelissena oraz anarchistów pokojowych: Tołstoja i Walczewskiego, zatrzymuje się też nad teorjami współczesnego anarchisty-indywidualisty Tuckera.

Most jest najkrańcowszym teoretykiem anarchizmu rewolucyjnego i terorystycznego. Cornelissen w poglądach swych stanowi przejście od socjalizmu do anarchizmu.

Tołstoj jest anarchistą, gdyż chce zniesienia: państwa, praw i wszelkiego rządu, jednakże pokojowo usposobionym, a nawet więcej, gdyż zaleca opór bierny; znakomity beletrysta rosyjski jest też ascetą.

Walczewski chce pogodzić postulaty naukowego socjalizmu z pokojowym anarchizmem. Domaga się także zniesienia państwa i praw. Teorje Tuckera są przeżytkiem indywidualistycznego anarchizmu w epoce komunistycznej.

Autor nie mógł obszernie i dokładnie przedstawić historji ruchu anarchistycznego, gdyż brak obecnie potrzebnych do tego źródeł, nadto anarchiści nie tworzą organizacji, lecz działają pojedynczo, albo małemi a chwilowemi grupami. W akcji ich nie ma jednolitego programu. Z czasem dopiero historja ruchu anarchistycznego, stanie się możliwą, kiedy w literaturze zjawią się liczne wspomnienia jego uczestników.

W części czwartej swej pracy autor usiłuje zbadać przyczyny współczesnego ruchu anarchistycznego.

W ruchu robotniczym rozróżnia on trzy grupy pracowników: arystokrację najmicką, której jest względnie dobrze w granicach współczesnego ustroju społecznego — tworzy ona potężne mocarstwo zawodowe i nie dąży do zupełnego przeobrażenia obecnego ustroju —, średnią warstwę robotniczą, której członkowie mają na ogół stałe zatrudnienie — ta grupa pracowników dąży do reform zasadniczych, zapełniając szeregi socjalnej demokracji i akcja jej polega na stopniowych zdobyczach przy pomocy państwa —, wreszcie najniższą warstwę robotniczą, która składa się z pracowników niewykwalifikowanych i nie mających stałego zajęcia — ludziom tej kategorji nie mogą dać prawie żadnych korzyści ani związki zawodowe, ani reformy, zdobywane przez socjalną demokrację, jedynie raptowny i zupełny przewrót społeczny.

Ponieważ obecna socjalna demokracja nie myśli o urzeczywistnieniu bliskiego przewrotu, spotyka się więc z ostrą krytyką ludzi tej ostatniej kategorji, a raczej jej ideologów.

Ponieważ starszyzna organizacyjna socjalnej demokracji jest najbardziej przeciwna akcji rewolucyjnej tej partji, więc krytyka niezadowolonych z niej żywiołów zwraca się przeciwko tej arystokracji i stopniowo dochodzi do negacji samej zasady organizacji.

Stąd powstaje dążność do anarchji.

W niektórych poszczególnych krajach istnieją specjalne warunki przyjazne dla anarchizmu. Tak jest we Włoszech i Hiszpanji, gdzie brak silnie rozwiniętego przemysłu, a gdzie istnieje natomiast liczny proletarjat.

W krajach tych trzeba szybkich i zasadniczych zmian, a nie samego prawodawstwa fabrycznego, ubezpieczeń robotniczych i innych zwykłych socjalno-demokratycznych reform.

Proletarjat inteligencji jest jednem ze źródeł anarchizmu.

Autor rozpatruje stosunek rasy do anarchizmu, zatrzymuje się też krótko i nad jego psychologją.

W piątej i ostatniej części poddaje krytyce obszernej doktrynę anarchizmu, oraz politykę różnych jego grup.

Anarchiści błądzą, nie uwidoczniając znaczenia prawa w społeczeństwie, nie widząc, że nie jest ono jedynie sankcją istniejących stosunków.

Autor przeciwstawia bezwzględnej krytyce parlamentaryzmu swoje poglądy na ten przedmiot, zalecając szereg reform, mogących uzdrowić przedstawicielstwo narodowe. Autor uzasadnia szeregiem rozumowań konieczność organizacji państwowej, nawet w społeczeństwie socjalistycznem. Usiłuje też wykazać, przy pomocy jakich środków można zapewnić możliwie największą wolność jednostkom i grupom społecznym, oraz wpłynąć na rozwój ich indywidualności.

Autor przewiduje, że obecna taktyka anarchistów rewolucyjnych i pokojowych nie zapewni im zwycięstwa, co prędzej, czy później wpłynąć musi na odwrócenie się od anarchizmu żywiołów, nadających mu obecnie charakter ruchu masowego.

Żywioły te, chcąc jaknajprędzej wywołać przewrót społeczny, przestaną domagać się bezwzględnej wolności i wytworzą kierunek socjalistyczno-rewolucyjny w ścisłem znaczeniu tego słowa. Wtedy prawdopodobnie odrodzi się blanquizm, wszakże nie w dawnej postaci. Nowy blanquizm odziedziczy zapewne w spadku po starym dążność do szybkiego pochwycenia władzy w państwie, połączy ją jednak z wyraźniejszą koncepcją przyszłego społeczeństwa; w taktyce zaś skorzysta z długoletniego doświadczenia i lepiej przygotuje społeczeństwo do głębokich zmian, aniżeli stary blanquizm.

Teoretycy anarchizmu poza zasadniczą swą doktryną wypowiedzieli wiele ciekawych i ważnych myśli, które autor starał się uwydatnić i zgrupować.

Ludwik Kulczycki.

8)

Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

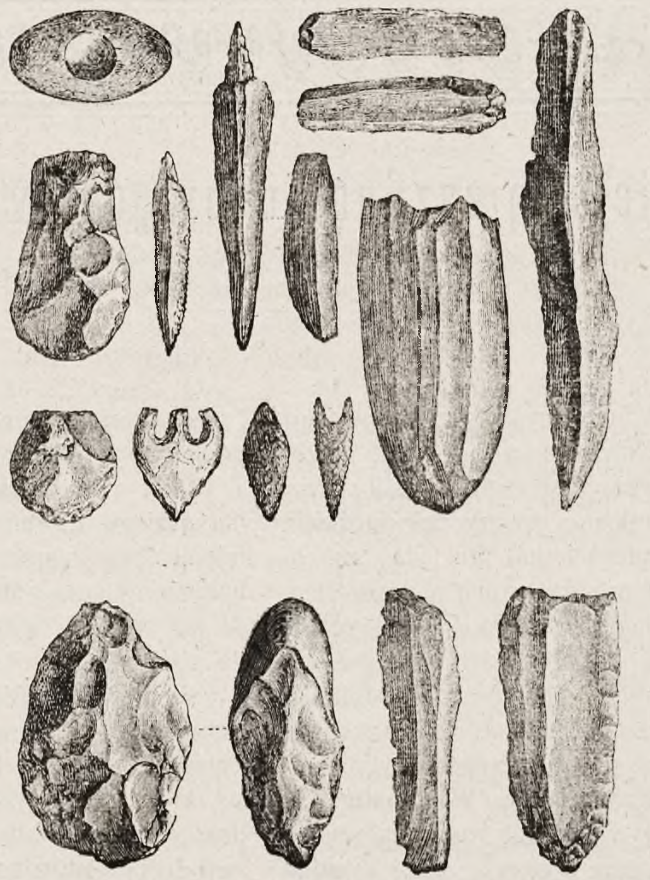


Również broń myśliwska jest w istocie swojej matką wszelkiego narzędzia gospodarczego. — Jeśli chodzi o kamienne utwory rąk ludzkich, to Lindenschmidt powiada: „że rozdział między bronią a narzędziem wydaje mi się niemożliwy. Przeznaczenie dla obydwóch użytków wydaje mi się tem prawdopodobniejsze, że jeszcze u Franków topór zawsze do podwójnego użytku służył“. (cyt. Hein. Altpreussische Wirtschaftgesch. XXII. 189). Lecz broń z kości lub rogu miała tę zasadniczą wadę zwłaszcza w okresie kiedy o każdą piędź ziemi w ciepłych jaskiniach musiało się walczyć z masą zwierząt, którym również ciepłe legowisko przypadało do smaku, że twardością nie przewyższała kostnego szkieletu. Ilość wielka łupliwego i twardego materjału, jakim jest krzemień, zwróciła jednak uwagę wzmożoną myśliwca dopiero wtedy, kiedy epoka lodowa, zapędziwszy go od „ujść rzecznych“ do jaskiń, zetknęła go jak najbliżej z kamieniem. Zbliżenie się codzienne życiowe w grotach wapiennych (a te są liczniejsze, wskutek znanej rozpuszczalności węglanu wapnia w wodzie) z licznemi tam bułami krzemiennymi, miało decydujący wpływ na cały typ kultury późniejszej kamiennej. Ale i wtedy jeszcze zauważymy Hiatus, to jest okres przejściowy między kością, rogiem a krzemieniem. Z badań naukowych okazało się naprzykład, że narzędziem, którem obrabiano do użytku krzemienie, było starsze tworzywo róg, „którym drobne złomki nie odbijano, ale wyciskano niejako“. W ten sposób tworzy się narzędzia krzemienne do dziś u pierwotnych ludów, jak naprzykład u Eskimosów w Alasce. Podobne narzędzia ludu ziemi ognistej (przylądka południowej Ameryki) opisał Ranke. Jest to tępa, okrągła laseczka z kości, którą się o brzeg skrawka krzemiennego osadza, a potem gwałtowniej naciska, że przez nacisk sam drobne kawałeczki odpadają. (Hein. Altpreuss. Wirtschaftgesch. XXII, 197).

I tem się różni zasadniczo okres starokamienny od nowszo-kamiennego, że w tym ostatnim okresie już kamień, służąc wobec drugiego kamienia jako narzędzie, wprowadził (patrz szlifowanie brylantów proszkiem djamentowym) technikę gładzenia narzędzi kamiennych. — W starszym okresie natomiast istnieje wciąż niezatarta współzależność materjałów ze zdobycznego myśliwstwa pochodzących: rogu i kości z krzemieniem. Wspaniałe zabytki rysownicze na kości, pozostawione nam przez myśliwca i jaskiniowca francuskiego i zachodnio-szwajcarskiego, były tylko możliwe jako współ-

działanie kości wygładzonej, krzemieniem, przemienionej w tabliczkę, i rylca krzemiennego, jako narzędzia twórczego w dłoni artysty z okresu lodowego, — Przedmiot rysunków, to zawsze wykładnik życiowy danego ludu, z którego grona wyszedł rysujący artysta. Olbrzymia zaś przewaga rysunków z grot epoki lodowej to przedmioty polowania — zwierzęta łowne, myśliwy-człowiek i broń jego łowcza najulubieńsza. Przeglądając owe rysunki, mimowoli przypominam sobie zupełnie tą samą techniką wcinania wykonaną scenę myśliwską na jednym cyrklu ze zbioru p. Dembowskiej w Zakopanem, gdzie góral strzela do głuszca. Największym tam jest głuszec, jako cel polowania, potem z kolei wielkością swoją uderza strzelba, a najmniejszym jest ten, którego głuszec nie powinien widzieć myśliwy. — Również i topory rzeźbione w owych grotach na kamieniu znacznie przerastają wielkością władającego nimi człowieka. — Dzięki zaś tym rysunkom mamy wcale dokładny przegląd ówczesnego łowieckiego świata; są mamut, niedźwiedź jaskiniowy, żubr, jeleń, ren, koza, koziorożec, foka i. t. d. obok ptaków, jaszczurek, ryb i t. d. Również nie braknie scen myśliwskich, z myśliwymi cięto rylcem rysowanymi, albo snycerską robotą rzeźbionymi. Obecnie coraz powszechniejszem jest zdanie, że ówczesnego człowieka zrozumieć można jedynie „jeśli się go uważa jako wytwór myślistwa“.

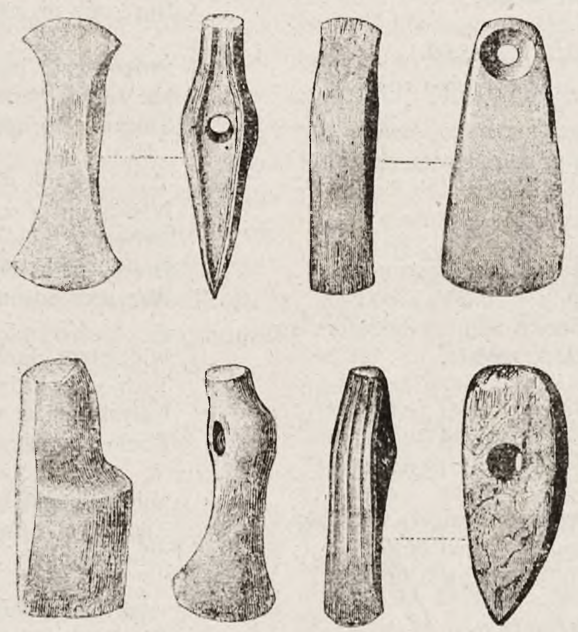
Do dziś jeszcze niektóre ludy centralnej Brazylji żyją w okresie kamiennym, to jest, nie znają użytku metalów i są jednocześnie myśliwcami“. (Von Steinens. „Unter den Naturvölkern Centralbrasiliens str. 200 r. wyd. 1894). Znamiennem zaś jest dla przedmiotu naszych badań przypuszczenie Grossa o źródlisku artyzmu ówczesnych myśliwców jaskiniowych, które powtarzam za H. Hirtem w całej rozciągłości: „Najstarsi mieszkańcy jaskiń w Europie, ci sporządzacze niegładzonych narzędzi krzemiennych, pozostawili nam pewną ilość rysunków na kościach, które dotąd wydawały się zagadkowymi. Ale zagadka wyjaśnia się przez porównawcze etniczne rozważania ludów myśliwskich. U nich wszystkich znajdujemy zgrabność w rysowaniu i zamiłowanie do tego, — co u nas dzisiaj wzbudza najżywsze zdziwienie. Ową zdolność wyprowadza Grosse trafnie ze społecznych warunków, w których żyją owe ludy. Władanie strzałą i łukiem (czego liczne ostrza krzemienne strzał po jaskiniowcach europejskich pozostałe są świadectwem niezbitem) wymaga pewnej ręki, która również i do rysowania jest potrzebną, a przy polowaniu nakazane dokładne zauważenie zwierzyny ułatwia jego rysunkowe, dobre w podobieństwie wyobrażenie. Właśnie ze sztuki mieszkańców jaskiń w Dordogne można na pewno wnioskować o ich życiu myśliwskiem. Zaś rolnictwa nie znali“, i znać nie mogli, ze względów klimatycznych tak wrogich roślinności w ówczesnej lodowej epoce. (Hirt. Indogerm. Forsch. V. 402). Tak więc wy-



WIZERUNEK II.
Broń łowna i narzędzia epoki paleolitycznej (starszej) łupanego kamienia z epoki lodowej.

jaśniwszy źródło rodzaju sztuki jaskiniowca — myśliwca, zwrócimy się do omówienia mieszkania jego — jaskini. — Z początku z natury rzeczy jest ona taką, jaką przyroda człowiekowi dała. — Później umiejętność obchodzenia się z kamieniem doprowadza do sztucznych grot, jakie zwłaszcza istnieją w górach jurajskich i liczne są też u nas w dolinie Dniestru (w Bubniskach). Istnieje wszakże pewna prawidłowość w rozwoju tych sztucznych grot, któremi zasiany jest świat ówczesny od Azji przez pustynne dziś miejsca Assyrji przez Egipt aż do Europy.

Sprawozdanie z podróży panów Becka i Lehmana po wschodniej Azyi doskonale określa ten rys rozwojowy owych jaskiń sztucznie drążonych mieszkalnych (Zeit. für Etnologie XXI. st. 548). Mówiąc o licznych tysiącach jaskiń z Hassan-kèf w ten sposób, odróżnia je od poprzednio widzianych chaldejskich. „Chaldejskie budowle odznaczają się tem, że to są rzeczywiste izby skalne z regularnie wykrojonemi drzwiami, z czworościennemi miarowo wykutemi przestrzeniami, których ściany według możności, często z wielką sztuką są wygładzone. W Hassan-kèf, w Skiefdán, jakoteż we wielkiej liczbie inszych osiedleń jaskiniowych, które potem poznałem, bierze górę to, co potem nazwę j a s k i n i o w o ś c i ą. S z c z e g ó l n i e j w e j ś c i e z a t r z y m u j e n i e r e g u l a r n e z n a m i ę j a s k i n i o w e g o o t w o r u; nie bywa na d r z w i z m i e n i a n e i przekształcane, a również i w n ę t r z a z a t r z y m u j ą o w o z a o k r ą g l e n i e i n i e r e g u l a r n o ś ć n a t u r a l n y c h g r o t, z k t ó r y c h m i e s z k a n i a p r z e c i e ż w w i ę k s z e j c z ę ś c i p o w s t a ł y d r o g ą r o z s z e r z e n i a i p r z e k s z t a ł c e n i a. Naturalnie, są wszystkie możliwe pośrednie kształty i przejścia od mieszkań jaskiniowych do skończonych pokoi skalnych, składających się z pięter stopniami połączonych etc.“ Ścisły historyczny i rozwojowy węzeł wiąże owe przeddziejowe groty z świątyniami skalnemi od których roi się Egipt i Indje. Uważając kamień jako właściwe tworzywo i mianownik ówczesnego skalnego wnętrznego budownictwa, zrozumiemy dopiero owo niesłychane obeznanie się z techniką kamienną. *Kaz. Mokłowski.*



WIZERUNEK III.
Broń łowna i narzędzia z epoki neolitycznej (młodszej) gładzonego kamienia.

Nieznane tłumaczenia Konstantego Gaszyńskiego

podał Stanisław Kossowski.

W rękopisie Archiwum Czartoryskich w Krakowie (nr. 3.280) zawierającym korespondencję Konst. Gaszyńskiego z Lucjanem Siemieńskim z lat 1851—66, znalazłem tłumaczenia trzech sonetów, i to jednego z Torquata Tassa, dwóch z Petrarki, przez Gaszyńskiego. Gaszyński, wiecznie już w tym czasie chory, przebywał w Baden-baden i tu na prośbę Siemieńskiego, by mu coś

napisał do albumu na rzecz pogorzelców nawiedzonego niedawno pożarem Krakowa, przysłał mu w liście z 2. października 1851 r. te tłumaczenia. Jednak z powodu rozlicznych redaktorskich zajęciach Siemieńskiego, album to nigdy światła ujrzeć nie miało. „Kraków się dawno odbudował, a twoje album nie wyszło“, pisze w dwa lata później Gaszyński do przyjaciela. Taki sam los spotkał i tłumaczenia Gaszyńskiego.

Z Torquata Tassa.

(Negli anni acerbi tuoi, purpurea rosa).

W wiośnie życia twojego, tyś się wydawała
Różą strojną w szkarłaty, co dziewiczych zwoi
Na ciepłe dnia promienie odsłonić się boi,
I śród liści zielonych kryje się nieśmiała.

Albo raczej jaśniałaś, jak jutrznia wspaniała,
Co, wypływając rankiem z niebieskich podwoi,
Wierzchołki gór wyniosłych złotym blaskiem stroi
I srebrnemi perłami doliny zasiała.

Wiek dojrzalszy nic twojej nie ujął piękności
I żadne dziewczę młode we wdzięków ozdobie
Nie zdoła cię przewyższyć, ni wyrówna tobie!

Tak kwiat, gdy już rozwity, ma więcej wonności,
I słońce, gdy godzina południa mu bliska
Jaśniejszym i gorętszym promieniem połyska!

Z Petrarki.

(In quot parte del cielo in quot idea.)

Jakąż myślą natchniona, w jakiej strefie raju
Natura brała wzory na tych lic pieszczoty
Strojnych w takie powaby, w taki urok złoty,
Jakich jeszcze w podniebnym nie bywało kraju?

Jakaż nimfa nad zdrojem, bogini śród gaju
Piękniejszych kiedy włosów rozwinęła sploty?
I byłoż kiedy serce tak bogate w cnoty,
Jak tej, co grób mi zbliża w życia mego maju?

Próżno szuka anielskiej urody obrazu
Ten, kto Laury oblicza nie widział ni razu,
Dla kogo nie zajaśniał wzrok jej czarowniczy!

Próżno chce pojąć miłość, kto wyrokiem losu
Nie zaznał harmonijnej słodyczy jej głosu,
Słodyczy jej uśmiechu i westchnień słodyczy!

(I vidi in terra angelici costumi.)

Widziałem ja na ziemi nadziemską dziewoję,
Strojną w cnoty anioła — odtąd grot miłości
Dręczy mnie, bo przy cnót tych i wdzięków jasności
Wszystko zda mi się cieniem, ćmiącym pamięć moję.

Widziałem zlane łzami czarnych oczów dwoje,
Tych oczu, którym słońce promieni zazdrości
I słyszałem wyrazy smutku i żałości,
Zdolne poruszyć góry i zatrzymać zdroje.

Miłość, litość, tęsknota, żal nieutolony
Tworzyły w owym płaczu harmonję miłą
Jakowej nigdy ziemskie echo nie odbiło;

I tak niebu przyjemne były owe tony,
Że wiatr się ułagodził, i w cichym powiewie
Nie śmiał kołysać listków, szemrzących na drzewie.

LALKA.

Uznając znaczenie kulturalne sztuki w ogóle, a zatem i jej gałęzi, którą ochrzczono nazwą sztuki stosowanej, zwrócić się musimy naprzód do tego, co ona uczyniła i jaką rolę odgrywa w życiu dziecka. Dzieci, w swem zajmowaniu się wszystkiem, w swej wszechstronnej „Beschäftigung“, — mają aspiracje silne w tym kierunku — oczywiście nie wszystkie w równej mierze — tedy trzebaby się tem zająć, by właśnie wszystkim im dać w ich duchowy majątek sztukę. I nie jest to rzeczą małej wagi, jeśli się zastanowię nad lalkami, nad pajacami, zabawkami i t. d. Zdanie to utarte, komunał, że wrażenia dzieciństwa są najsilniejsze; z drugiej strony również wiadomo, że dziecko, przyswajając sobie z właściwą sobie

łatwością formę, odczuwa niezmiernie delikatną swą intuicją ducha, jakim dana forma tchnie. Wydaje mi się tedy rzeczą największej wagi, by formy zdobnicze zabawek i sprzętów dziecinnych były swojskie, rodzime — bo, jak to niżej argumentować będę, zdaniem mojem i zgodnie z prądem, jaki dziś i u nas panuje — naszą kulturę szeroką, europejską, budować winniśmy na gruncie narodowym. Jeśli tedy lalka będzie w stylu ludowym, to niechaj będzie w polskim — owa prosta lalka lub konik drewniany z polichromowanem wcinaniem — wszystko jedno w krakowskim, czy zakopiańskim; jeśli będzie gotycką, renesansową, barokową, rococową, empire — to w takich modyfikacjach wymienionych stylów, jakie spotykamy w Polsce. — Niejednemu zwiedzającemu muzea zagraniczne dziwnem się może wydać, że spotyka tam osobne sale, poświęcone lalkom i w ogóle dziecinnym zabawkom, szopkom, marjonetkom. Dziwniejszem mu się to jeszcze wyda, gdy wśród tych lalek odróżni bogate i zwykłe — strojne w prawdziwe złoto, korale, koronki, jedwabie i włosy, o niezmiernej wielkości, często automatycznie się poruszające. Lalki to najczęściej Ludwików młodych francuskich, lalki ad usum Delphini i ich europejskich naśladowców po dworach. W pamięci wynurzają się pałace w Versailles i jemu podobne, ich ogrody, fontanny, statuy, zabawy, dworskie uroczystości.

„...Du Mama, das verstehst Du nicht. Ihr waret einstens von selbst vollkommen, Nichts zerstörte Euch, rüttelte an Euch. In Euren Stuben sasset Ihr, gedankenleicht und seelenleicht, mit Euren leichten Mousselinkleidern und Euren komischen Frisuren und Einer kam und nahm Euch wegen nichts. Wir aber.....“ *)

Podobnie i te lalki. Lalki to były nie do zabawy — i najlepsze dla nich miejsce — to muzealna oszklona szafka. Siedzi tam sobie ona „gedankenleicht“ w swojej komicznej fryzurze, a ludzie przechodzą, i patrzą i dziwią się tym dawniejszym ludziom... Delfin, gilotyna, Lavoisier, Fryderyk Wielki — lalka w muślinach: dziwny czas, dziwni ludzie. Zkąd się bierze w kulturze tych dni lalka, taka duża, strojna lalka?

A w szafce obok widać inne lalki, zwyklejsze; dziwne, że się tu znalazły — wszakże one były przeznaczone do zabawy tych, co z taką dumą wszystko niszczą, którym zniszczenie i nowa praca i znowu zniszczenie daje tak wielką satysfakcję. Ocalały i o nie nam właśnie chodzi. Rzecz drobna, ale jako jedyne zajęcie dziecka — niezmiernie ważna. I jakże się różnią tutaj lalki niemieckie, od francuskich, japońskich, rosyjskich. Znamiennem jest to, że lalki francuskie, są niezmiernie drogie, jako bardzo bogate, strojne, piękne — niemieckie zaś nierównie tańsze. Głównem miejscem wyrobu pierwszych jest Paryż, drugich nabożna Norymberga, znana już z tego od wieków. Obecnie rywalizują, z nią Berlin Stuttgart i. i. Wyroby jednak z tych miast mają być o wiele lichsze.

Dziś czasy się zmieniły. „Dziś zabawka stała się tem, czem powinna być w demokracji, zastosowana dla wszystkich i skromna. Mniej się rozchodzi o przyozdabianie, jak o upraszczanie, mniej o wzbogacanie, jak o zredukowanie jej ceny, by tem łatwiej można było zaopatrywać się w nie na nowo. Warunki współczesne walki przemysłowej między narodami ważniejszą czynią kwestję niskiej ceny, niż kwestję sztuki. Rzemiosło wymaga wprawdzie zawsze gustu, lecz nie dopuszcza zbytnich ornamentów, rzeczy niekiedy tak koniecznej“ (Léo Claretie).

Jakkolwiekby się jednak rzecz miała pod tym względem, popyt w tym kierunku jest tak wielki, że chyba utrzymałby krajową fabrykę, któraby wyrabiała kosztowne i zwykłe zabawki. W przeciwnym razie należałoby może wpłynąć na to, by zagraniczne fabryki towar, który przysyłają do nas, opracowywały na naszych motywach, wiernie, bez przekręceń.

Chodzi przecież bowiem o to rodzime zdobienie — a zabawka byłaby jednem z dalszych pól, tak bardzo pożądanego rozwijania swojskiego ornamentu. Zasadnicza kwestja jest ta: w zabawkach dziecinnych chodzi o jak najwierniejsze odbicie natury. Ornament jestto coś schematycznego, czego dzieci nie rozumieją i nie odczuwają. Najmilszym jest dla nich świat zwierzęcy. Podając dzieciom jego niestylizowane formy, rozwija się w nich zmysł obserwacyjny. W gruncie jednak rzeczy nigdy nie przestaniemy być jacyś stylowi — zresztą odbywać się tu musi ciągłe oddziaływanie wzajemne starszych i dzieci. Dzieci widzą bardzo nieskomplikowanie. To też lalka nie może

*) Piotr Altenberg: „Was mir der Tag zuträgt“.

być skomplikowaną — musi być bardzo ogólnie traktowaną. Otoczenie, jako czynnik zewnętrzny, a naśladownictwo, jako wewnętrzy, każą jednak wkrótce dziecku zdobić lalkę. I tu właśnie trzeba zacząć od swojskości — nie można zaś zgodzić się na to, co dają dotychczasowe lalki „kosmopolityczne“, ów wyrób fabryczny, masowy, bezimienny stylowo i narodowo.

Dlatego zupełnie nie zdziwiłbym się, gdybym nagle usłyszał, że gdzieś jakieś Towarzystwo, zajmujące się stosowaną sztuką, rozpisało konkurs dla krajowych artystów na lalkę i jej przyozdobienie, ubranie. Dzieło przestało by być bezimiennem, od twórcy wzięłoby cechę artystycznego przemysłu, jego indywidualności, a zarazem jego wykształcenia i smaku estetycznego.

Trzeba tu artysty prawdziwego, trzeba sztuki i obserwacji! Śledźcie takiego fabrykanta w poszukiwaniu nowych idei. Rankiem zawiesił swój aparat fotograficzny na skórzanym pasku i oto teraz idzie, rozgląda się, notuje w swym notatniku mijające spostrzeżenia z ulicy, chwytając w przechodzie typy Paryża. Raffaelli lub Bosse wypełnia swe notatki tymi sylwetkami ujmującemi i charakterystycznemi. Oto n. p. muzykant wędrowny, w swych długich, rudych włosach i wysokim kapeluszu o krysach płaskich i wytartych, w bardzo długiem - odzieniu z aksamitnym kołnierzem, w zbyt jasnych spodniach. I tak wszędzie, w podróży, na przechadzce stwarza dzieło obserwatora i artysty. W Hiszpanji studjuje torreadorów, w Belgji notuje wózek z mlekiem, ciągniony przez psy itd. a wszystkie te „osobistości“ wychodzą potem z pod pras i stęplarni jego fabryki i, obdarzone życiem mechanicznem, za 25 sous kiwają się po trotuarach bulwarów i kiwać się tak będą aż po swą ostatnią godzinę“.

Idąc dalej, nie dziwiłbym się również, gdyby, jak o to gorąco we Francji nawołuje Léo Claretie, w naszych muzeach przemysłowych urządzono i wciąż uzupełniano zbiory lalek i zabawek dziecinnych, o typie przedewszystkiem swojskim, a następnie dopiero obcym.

Marjan Olszewski.

STEFAN RYCERSKI.

PUŚCIZNA BRZESZCZA.

(C. d.)

— Ja sprzeczam się bardzo rzadko i potem nie umiem się godzić — odparła poważnie. Podobno mam naturę dziada. Takim był Brzeszcz.

— Jesteś do portretu dziada podobna i piękna jak on. Czy wiesz o tem?

— Chlubię się z podobieństwa do Brzeszcza — odparła — i chciałabym we wszystkiem być taką, jak on.

— A co do piękności...

Skinęła ręką obojętnie...

— Ignasiu! — zawołała z wybuchem. – Jaki on był szczęśliwy!

— Szczęśliwy — powtórzył zdziwiony.

— Pamiętasz — mówiła chwytając jego rękę — dziećmi jeszcze, modląc się pod krzyżem, powtarzaliśmy to sobie, prosili Boga o życie takie, jak jego.

— Ależ nie o tę straszną śmierć Maryniu.

— Śmierć była następstwem życia. Walczyć i umierać za to co się kocha; czy jest to los więcej godny zazdrości. Ty Ignasiu modliłeś się o taki los także.

— Byłem wówczas wyegzaltowanem dzieckiem.

Spojrzała na niego smutno i surowo.

— Zmieniłeś się zupełnie przez te ostatnie lata, ja nie. Dziś myślę to, co wówczas i modlę się o to samo.

— Szaleństwo — zawołał z przestrachem.

— Bądź spokojny, odparła siląc się na zwykły spokój. Zmieniły się czasy, nie danem nam jest walczyć z bronią w ręku i ginąć od kuli, dziś walczyć potrzeba ciągle, nieustannie, każdą myślą, każdem słowem, każdym czynem. Dla tego pracujemy wszyscy... rozumiesz? Na nas, dzieci Brzeszcza spadła jego spuścizna. Czynimy dalej co on czynił. I, jak on, ofiarujemy całe życie tej służbie, za którą śmierć poniósł.

Mówiąc to pobladła, oczy jej pałały.

— Jakaś ty piękna Maryniu, zawołał mimowolnie, uniesiony wrażeniem estetycznem.

— Wstydź się Ignasiu, zwracać na to uwagę. Pomyśl o tem, co ja mówię, co czuję. Ty przecież jesteś moim bratem, jego wnukiem.

— Słysząc cię, możnaby myśleć, że się wypieram tradycji rodzinnych.

— Tradycje wkładają obowiązki.

— Tak obowiązki, ale widzisz powiedziałaś wielkie słowo, zmieniły się czasy.

— I cóż stąd? Czasy się zmieniły, ale nie obowiązki. Walka trwa ciągle, tylko oręż jest inny. A ja czasem myślę, że stokroć łatwiej było wyjść w pole walczyć i ginąć, niżeli każdej chwili, stać na straży zagrożonych interesów, każdej chwili mieć się na baczności przed zdradą, przed napaścią i nierówną bronią, odparowywać ciosy, zadawane niezmordowanie. I tak zawsze! zawsze! zawsze!

Mówiła to głosem drgającym niecierpliwie, patrząc na brata, jakby chciała obudzić w jego piersi echa swych uczuć.

Ignaś milczał. Przychodziły mu na myśl zasłyszane teorje, o których nie śmiał wspominać, a które powoli sprzymierzając się z samolubstwem, tchórzostwem, żądzą użycia, istniejącemi na dnie każdej ludzkiej duszy, zwalczyły tradycje, w których był chowany. Myślał, że, gdyby siostry mogły tak, jak on, wyjść z tego zaklętego koła Maliniec, gdyby rozejrzały się po szerszym świecie, nie marnowałyby najpiękniejszych lat życia w pracy, której pożytek był problematyczny. Spuścizna Brzeszcza, obowiązki jakie ona wkłada! Wytłumaczono mu, że są to marzenia, że człowiek ma także obowiązki względem samego siebie, a to zwłaszcza ostatnie twierdzenie odrazu trafiło Ignasiowi do przekonania. Tem bardziej, że mówili to młodzi ludzie, wiodący rej w towarzystwach, spędzający większą część życia w zagranicznych stolicach.

Że czyjś tam dziad zginął w powstaniu, to jeszcze nie racja, by wdziać włosiennicę, wyrzec się wykwintów i przyjemności życia, spędzać młodość na bakałarzowaniu wiejskim dzieciom, na doglądaniu chorych i sprawowaniu obowiązków siostry miłosierdzia, które w dodatku mogły zaprowadzić na Sybir.

Z drugiej znów strony wielu krewnych i przyjaciół rodziny, z którymi nawiązał stosunki, zgadzało się na to, że matka jego była świętą kobietą, ale strasznie egzaltowaną, narażała się ciągle; ubolewali nad Marynią i Jadzią, które wychowywała w swoich zasadach i skazywała przy znacznym majątku i tylu stosunkach, na klasztorne życie.

A przytem ludzie trzeźwi, uchodzący za rozumnych, którzy jak sami mówili, jasno patrzyli na życie, pokazali mu je z innej strony. Zbudził się wówczas, jakby ze snu i przyszedł do przekonania, że on także był ofiarą matczynej egzaltacji, uznał, że wspomnienia przeszłości ciążyły na nich wszystkich jak zmory, i że one to stanowiły fatalizm rodzinny.

Przyjechał więc do Maliniec, ze stałym zamiarem dokonania reform, w tem gnieździe przestarzałego szowinizmu, jak się wyrażali jego nowi przyjaciele. Wmówili oni weń, że jako głowa rodziny, ma przed sobą inne drogi, a nawet stokroć skuteczniej służyć ojczyźnie na drodze kompromisów dyplomatycznych. Z tak potężnym nieprzyjacielem, nie można było iść na przebój, należało go ułagodzić, uśpić jego czujność, wyzyskać i zdobyć podstępem to, co siłą otrzymać było niepodobieństwem. Trzeba więc było trzymać się legalności, czyli inaczej, skazać się na bezczynność w sprawach narodowych, a nawet bratać się z wrogiem, ażeby go przekonać dowodnie o serwilistycznej uległości. Wprawdzie te wszystkie teorje pochodziły wprost z Petersburga, powstawała przeciwko nim żywotna część narodu. Ale cóż, kiedy część ta głosu nie miała. Od czegoż cenzura. Więc niektóre dzienniki rozbrzmiewały ugodowemi hymnami, głosiły wielkomyślność młodego cara, szlachetność jego urzędników, cnoty rosyjskiego społeczeństwa i budowały na tych urojonych podstawach złote mosty, mające jakoby połączyć wrogie społeczeństwa.

Daremne; co dzień, co chwila, przekonywano się, że ta wielkomyślność, szlachetność, cnoty, były tylko wytworem fantazji petersburskich uwo-

dzicieli, którzy dawno zatracili wszelkie pojęcia narodowe, że ich piękne marzenia i nadzieje, brutalnie obalały fakty. W urzędach, szkołach, instytucjach, rusyfikacja postępowała z podwojoną siłą, a płaszczenie się opornego dotąd narodu, zamiast rozbroić ciemięzcę, podniecało go do coraz nowych zamachów, skoro te były przyjmowane z pozornem zadowoleniem.

Wszystko to było aż nadto widoczne, ale zarazki moralne znajdują zawsze grunt podatny w niskich instynktach. Więc przyjęły się one w duszach tych wszystkich, którym sprzykrzyło się walczyć i cierpieć, którzy łaknęli znaczenia i z wszelkiem bezpieczeństwem, chcieli się głosić dobroczyńcami swego narodu. Był to nagły wybuch wszystkich podłości, kryjących się wstydliwie, a które teraz przybrały maskę dobra kraju.

Zamiary Ignasia przeszczepienia ugodowych teorji na grunt Maliniec okazały się niepodobnemi do spełnienia dla tej prostej przyczyny, że nie mógł ich przed nikim w domu wypowiedzieć. Marynia ostrzegła go nawet o tem, jak gdyby lękała się starcia. Wracali więc w milczeniu do dworu, gdy dochodząc do lipowej alei, ujrzeli elegancki powóz, zaprzężony czwórką dzielnych koni, zbliżający się kłusem.

— Goście jacyś — zawołał Ignaś.

— Goście! kto to być może — odparła Marynia — nie poznaję koni.

Powóz zbliżał się szybko. Zamajaczyło w nim dwóch mężczyzn. Ignaś rzucił rozpaczne spojrzenie na siostrę. Do czego ona była podobna. Stara suknia wbrew modzie dochodziła jej do kostek — takie nosiła zwykle w swych wyprawach po rosie, polach, wiejskich drogach — jaskrawa chustka, chustka zwyczajna, noszona przez chłopki, okrywała jej głowę, w ręku niosła koszyk.

— Jakżeś ty ubrana — szepnął brat, którego rozpacz wzmagała się z każdą chwilą, bo poznał jadących.

Poznał już kto przyjeżdża. Był to baron Roński i Witold Arczyński, świeżo przybyły z Anglji, gdzie kończył nauki. Oni także poznali Ignasia. Dały się słyszeć wołania.

— Stój! stój!

I czwórka pod wprawną ręką woźnicy zaryła się w ziemi. Panowie wyskoczyli i witali się z kolegą, nie zważając na idącą przy nim kobietę.

— Wczoraj z Witoldem przyjechałem do Roniszek — mówił baron. — Dowiedzieliśmy się, że jesteś już w domu, no i widzisz.

Krew uderzyła do twarzy Ignasiowj, ale opamiętał się szybko, musiał przybyłych przedstawić siostrze.

— Maryniu, baron Roński, pan Arczyński.

Panowie zbliżyli się trochę zdziwieni, złożyli ukłony, a ona, wcale nie zakłopotana, odpowiedziała uprzejmem skinieniem głowy. Nie lubiła obcym podawać ręki. Był to u niej dowód przyjaźni, uznania, lub przynajmniej dobrej znajomości.

Poszli razem ku dworowi, Marynia trochę naprzód z Arczyńskim, który rozpoczął z nią jakąś zwykłą rozmowę. Roński był zapatrzony w postać dziewczyny. W prostym na wpół wieśniaczym stroju, rysowała się na tle zieleni, smukła i zręczna.

Patrząc jednak na Marynię, rozmawiał z jej bratem; zapewne szło o sprawy gospodarskie, bo Ignaś mówił.

— Berwicz nasz rządca...

Marynia usłyszała te słowa, i zwróciła się do brata.

— Pan Berwicz, Ignasiu, nie jest naszym rządcą, ale przyjacielem i opiekunem.

Ignaś się zmieszał.

— W rezultacie — odparł — on prowadzi gospodarstwo w Malińcach, a właśnie mówiliśmy o niem.

— Chciałam tylko zaznaczyć jego położenie w naszym domu — dodała Marynia. — Jestem pewna, że byłoby panom przykro, gdyby, spotkawszy go, nie byli o tem uprzedzeni.

I zwrócona znowu do swego towarzysza, prowadziła dalej zaczętą rozmowę, zrobiwszy tę uwagę, jakby mimochodem.

Ignaś dość był obeznany ze światem, by odczuć, że siostra pomimo swej krótkiej sukni, koszyka i chustki na głowie, okazała w tych słowach takt subtelny i wielką swobodę, nie zdając się być zafrasowaną swoim strojem. Jednakże był niespokojny.

Dom w Malińcach nie był utrzymany na takiej stopie, jak inne zamożne, wiejskie dwory, nie uwzględniano w nim mody, a o niektórych wykwintach nie miano wcale wyobrażenia. Wszystko tu było tak, jak za czasów matki pani Teresy, gdy po powstaniu znów uczyniono mieszkalnym

zrabowany dom i zaopatrzono go w rzeczy niezbędne.

Pomimo to pokoje starego dworu, miały urok sobie właściwy. Mieszkańcy urobili je, na obraz i podobieństwo swoje. Można z nich było zrozumieć ich całe życie.

Ściany zdobiła szczupła liczba portretów rodzinnych, które uszły zagłady. Z przeszłości zachowano wszystkie szczątki, jakie zebrać się dały. Piękne, dawne mahonie i bronzy, mieszały się z powszedniemi sprzętami, zakupionemi bez wyboru, bo były potrzebne. Nikomu na myśl nie przyszło, uwzględnienie ich stylu. Nie przywiązywano do tego żadnego znaczenia. Takie lub inne, była to rzecz obojętna, byle służyły do wygody.

A jednak, zestawienie sprzętów nieodpowiednich sobie, nie raziło, z powodu zupełnego braku pretensji, a nawet nadawało coś swoistego pokojom, w których malował się charakter i nawyknienia mieszkańców. Wszędzie było pełno książek, dzienników, robót, a przytem widać było staranność kobiecą. Posadzki błyszczały jak zwierciadła, białe firanki zwieszały się w zgrabnych festonach. Przy oknach stały kosze kwiatów, których pełno było także w starożytnych wazonach i w zwykłych majolikach, bo widocznie stare wazony, pomieścić ich bogactwa nie mogły.

W kwiatach kochała się pani Teresa, był to nawet jedyny jej gust osobisty.

We dworze malinieckim nic nie było na pokaz, dla zwrócenia uwagi, pochwalenia się, nie dla ludzkiego oka. Rozłożone nuty, książki, roboty ożywiały obszerne pokoje. Gość czuł, że nie sprawia tu żadnej różnicy, przyjmowano go uprzejmie, dopuszczano do kółka domowego, nie zmieniając trybu życia i przerywano jedynie te zajęcia, które można było odłożyć bez szkody.

Niektórzy lgnęli od razu do tego szczerego, gościnnego domu. Inni dostrajali się do niego z trudnością, lub nie dostrajali wcale.

Pani Teresa przyjęła serdecznie gości syna, chociaż nie miała sympatji do światowców, jakim był baron Roński, którego nazwisko, jako sąsiada, nieraz obijało jej się o uszy. O Arczyńskim nie słyszała nic wcale, ale pozór nie stanowił dla niej istoty człowieka. Mówiła nieraz z pobłażliwością sobie właściwą, gdy kogo wyśmiewano w jej obecności: ,,Dajcie pokój, różnych pan Bóg ma sługami swemi“. Miała we krwi staropolską gościnność, co to usiłuje każdemu przyjętemu u progu domu ten dom miłym uczynić, a przytem uśmiechała się przyjaźnie do tego młodego pokolenia, w którem tkwiła przyszłość kraju, rada była się z niem zetknąć, rozgrzać je swoim zapałem.

Marynia, rozjaśniała swą poważną pięknością atmosferę starego dworu a Jadwinia nadawała mu ton wesela, mieszając nieraz do ogólnej rozmowy swój śmiech szczery. Nie brakło nawet Berwicza. Marynia zobaczyła go przez okno i przyprowadziła gwałtem pod pozorem jakiejś gospodarczej kwestji, którą, jak twierdziła, jeden Berwicz mógł rozstrzygnąć.

Panowie pamiętni słów, określających tak dobitnie stanowisko jego w ich domu, powstali zaraz i prosili, ażeby ich przedstawić, ku wielkiemu zdziwieniu Ignasia, który był bardzo nierad z zaproszenia siostry. Zyskało im to odrazu życzliwość pani Teresy.

Korzystając z pogody, która zajaśniała po deszczu, całe towarzystwo wyszło obejrzeć jakieś świeżo zasiane olbrzymie żyto, sprowadzone przez p. Teresę z Warszawy. Berwicz nie omieszkał tego zaznaczyć i do rozmowy wtrącić pełno faktów, świadczących, że jej to Malińce zawdzięczają swój stan kwitnący.

Naturalnie pani Teresa dowodziła znowu, iż cała zasługa spada na Berwicza, a wkrótce sprzeczka tak się zaogniła, że Ignaś się w nią wciągnął i ani się spostrzegł, jak po dawnemu nazwał starego Berwisiem.

Berwicz drgnął, łzy zakręciły mu się w oczach i zaczął mówić półgłosem.

(C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *Druga księga puszczy* przez Ruydyarda Kiplinga, przełożył Józef Czekalski. Warszawa 1902. O Ruydyardzie Kiplingu wiele się mówi obecnie i pisze. On bowiem, podobnie jak filozofowie najmłodsi, z fantastycznych krain indyjskich wyprowadził powieść nową, jakiej nikt jeszcze nie widział, obrazy jakich nikt jeszcze przed nim nie wyśnił z wyjątkiem rozmodlonego fakira lub tajemniczych braminów. Druga księga puszczy, jak wskazuje sam napis zresztą, jest ciągiem dalszym księgi pierwszej, która się ukazała na europejskim rynku literackim przed dwoma laty. Jestto ciąg dalszy opowiadań o Mowglim, chłopcu indyjskim, który niemowlęciem porwany przez dzikie zwierzęta, przyjął życie i obyczaje puszczy leśnej, o jego rodzeństwie wilczem, przyjaźni ze starym niedźwiedziem Baloo, który go praw puszczy wyuczył, Baghaerą lamparcicą, olbrzymim pytonem Khaa, starym słoniem Hathi i t. d. Ostatecznie stał się Mowgli przez czyny swoje potężne królem leśnych obszarów, aż wreszcie zatęsknił do matki swojej, indyjskiej kobiety, i wrócił między ludzi. Opowiadania te, siłą swoją (zwłaszcza tam, gdzie chodzi o stosunek tego wilka-człowieka do prawdziwych ludzi) i potężną fantazją działają na czytelnika ogromnie, a przeplecione są obrazkami, z głównym i ulubionym bohaterem Kiplinga Mowglim nic wspólnego nie mającymi. Jest tu więc fantastyczna historja o Purun Bhagacie, ongi pierwszym dygnitarzu, któregoś z królestw indyjskich, pod protektoratem Anglji, a później przez długie lata pustelniku na szczytach gór Himalaja, opowiadanie o krokodylu Mugger z Mugger-Ghaut, obrazek z lodów podbiegunowych i t. d.

Nietylko jednak treść, ale i forma sama tych opowiadań niezwykłą się odznacza oryginalnością i poezją. Niektóre z nich drukowane były już, jak wiadomo w poprzednich rocznikach „Tygodnia“.

Fr. Jaw.

*

Lichwa w świetle ustawodawstwa synodalnego polskiego w wiekach średnich, Dr. Zbigniew Pazdro. Młody ten autor znany jest nietylko ze swych monografij statystycznych o stosunkach Galicji, które opracowuje w biurze statystycznem Wydziału krajowego, ale i z licznych monografji z zakresu rozwoju stosunków ekonomicznych Polski.

Dziełko jego „Uczniowie i towarzysze“ jest najlepszą monografją w sprawie cechów w Polsce. Niedawno wydana monografja p. Pazdro, „Lichwa w świetle ustawodawstwa synodalnego“, odbitka z „Kwartalnika historycznego“ jest też cennym przyczynkiem do historji ekonomicznych stosunków w Polsce.

Autor daje obraz stosunku kościoła do lichwy. Pierwsi ojcowie kościoła, zajmując stanowisko przeciwne pobieraniu procentu, powołują się na Stary Testament a do tego dołączają argumenty, płynące z naturalnego poczucia słuszności. — Później czerpano powody zakazu także z Nowego Testamentu, do czego też dodano autorytet pisarzy starożytnych, jak Katona i Arystotesa, który dowodził niepłodności pieniądza“. Następnie na Zachodzie, przeciwko lichwie, pod którą rozumiano wszelkie pobieranie procentu, występują uchwały synodów i prawodawstwo Karola W. Powstające w XIV. stuleciu banki napotkały na przeszkody w ustawodawstwie kościelnem o pobieraniu procentów. Statut Trąby w Polsce (1420 r.) zwraca się przeciwko bankom. Jako obrońcy banków *„montes pietatis“* zjawili się Franciszkanie. Papież Leon X. na piątym soborze laterańskim w 1517, zakończył spór na korzyść *„montes pietatis“*, oświadczając, że umiarkowany procent, nie z chęci zysku płynący, nie jest lichwą.

Był to objaw zwycięstwa gospodarki nowożytnej, w której obrót pieniężny i kredyt odgrywa tak wybitną rolę nad naturalną gospodarką średniowieczną.

Dr. Pazdro nie znajduje w ustawodawstwie państwowem polskiem żadnych przepisów w sprawie pobierania procentów; ono normuje tylko lichwę żydowską. Tę kościół tolerował, nie mając w ręku żadnej broni przeciw żydom, jako niepodlegającym jego jurysdykcji. Wyjątek stanowi tylko wezwanie Innocentego III. (1213 r.) zwierzchności świeckiej do podjęcia środków represyjnych przeciwko żydom.

Dr. Pazdro przypuszcza, że w wieku XIV. lichwa w Polsce nie rozszerzyła się jeszcze na cały obszar państwa, a tylko sporadycznie w tej lub tamtej dzielnicy wchodzi w zastosowanie. Autor opiera to swe przypuszczenie na braku uchwał prowincjonalnych w tym okresie. Autor kieruje się tu następującem całkiem słusznem rozumowaniu. Ustawodawstwo partykularne wogóle związane jest ściśle z życiem, z potrzebami praktycznemi. Jeżeli więc w ustawach partykularnych znajdujemy jakiś przepis, zwłaszcza częściej się powtarzający, wnioskujemy stąd, że objaw, przeciwko któremu on był zwrócony, zjawia się częściej w danej prowincji.

Jednym z ważnych wyłomów w prawodawstwie przeciwko procentom było kupno renty. „Instytucja ta będąca w powszechnem użyciu w wiekach średnich, przyszła do Polski wraz z kolonizacją niemiecką i zyskała tu sobie rychło szerokie zastosowanie. Polega ona na tem, że kapitalista w zamian za kapitał, wypłacony właścicielowi pewnej nieruchomości (gruntów, domu etc.), otrzymuje prawo do stałego poboru pewnej kwoty pieniężnej, lub pewnego świadczenia w naturze z tejże nieruchomości“.

Bulla Marcina V. z 1425 r. stwierdza, że z górą 2000 beneficyj, kanonji, prebend i t. d. zostało dotowanych za pomocą kupna renty. Gdy w rzędzie zagrożo-

nych znajdowało się nie mniej niż 2000 beneficjantów duchownych, nietrudno wyjaśnić dlaczego orzeczenie papieskie, nie mogło wypaść inaczej, jak przychylnie dla kupna renty, — robi słuszną uwagę dr. Pazdro.

Kupno renty, jako pewne unieruchomienie kapitału, odpowiadało stosunkom owych czasów, które dadzą się scharakteryzować jako przewaga własności nieruchomej nad ruchomą.

Wl. St.

PISMA. *Nowe Słowo*, dwutygodnik społeczno-literacki, wychodzący w Krakowie, udziela w ostatnim numerze głosu p. K. Bujwidowej w bardzo ważnej sprawie bieżącej, co do nowo-organizowanego typu szkoły żeńskiej, tak zwanego liceum żeńskiego. P. Bujwidowa, która już w tej kwestji dawniej nieraz głos zabierała, dowodzi, że utworzenie liceum żeńskiego, podobnie jak wprowadzenie 6-klasowej szkoły wydziałowej żeńskiej, nie odpowiada powszechnie odczuwanej potrzebie gimnazjów żeńskich. Jest to półśrodek, wprowadzony przez p. Bobrzyńskiego i ministra Hartla, a spowodował on tylko tem większe niezadowolenie pośród kobiet i zamęt w opinji publicznej, gdyż obecnie rodzicom trudno się zorjentować, do której szkoły mają posłać swe córki, do liceum, do wydziałowej szkoły, czy do seminarjum żeńskiego. Dopuszczono się także tej niesprawiedliwości, że połowę posad w liceum żeńskim przyznano siłom męskim, chociaż jest już dostatek kobiet z uniwersyteckiem wykształceniem, które nie tylko w liceach mogłyby uczyć, ale też i w gimnazjach męskich z większym pożytkiem pracowaćby potrafiły, jako suplentki, niż słuchacze filozofji z pierwszego, lub drugiego roku uniwersytetu.

P. K. Bujwidowa domaga się w imieniu kobiet, a mianowicie matek, by zreformowano gimnazja, przeładowane greką i scholastycznym balastem i by utworzono jednolitą szkołę średnią, do którejby dostęp był otwarty zarówno dla chłopców, jak dla dziewcząt.

Z doli najsłabszych przytacza p. M. Markowska przejmujące zgrozą obrazki wyzysku pracy kobiet i dzieci w Niemczech. W górach harceńskich kobieta za nędzną zapłatę 85 centów dziennie targa przedwcześnie zdrowie i siły w fabrykach wyrobów emeljowanych, oddycha ostrymi wyziewami kwasu solnego, nurza ręce w żrącym płynie, dźwiga ciężkie naczynia.

Dzieci poniżej 14 lat pracuje w Niemczech prawie pół miljona — w przemyśle, w handlu, w ruchu komunikacyjnym, po gospodach i wyszynkach, w służbie do roznoszenia, na posyłkach, w różnych przedsiębiorstwach. Po wsiach fabrycznych, gdzie kwitnie przemysł domowy, na 100 dzieci w szkolnych pracuje 80. Także do kopania kartofli, buraków i t. p. robót uwalniają dzieci ze szkoły, byle junkrom dogodzić.

Hr. Posadowski wnosi projekt prawa, które już 12-letnim dzieciom pozwalałoby pracować po cztery godzin dziennie. Chodzi fabrykantom o taniego robotnika, który zwłaszcza obecnie w czasie przesilenia ekonomicznego jest bardzo pożądany.

Skutkiem takich stosunków wzrasta ogromnie śmiertelność dzieci, a matki zajęte nadmierną pracą poza domem, rodzą dzieci mało zdolne do życia. Śmiertelność śród niemowląt zwiększyła się ogromnie w ostatnim dziesiątku lat

Uwagi te, odnoszące się do pracy dzieci w państwie niemieckiem, nie są bez interesu i dla galicyjskich stosunków; wiadomo bowiem, że w Sejmie od czasu do czasu odzywają się głosy, aby w czasie robót w polu, zamykano szkoły i dzieci do pracy koło kartofli odprawiano.

S. M.

SZTUKA. *Wyspiański - profesorem!* Urzędowa wiadomość o zamianowaniu St. Wyspiańskiego profesorem nowo kreowanej katedry sztuki stosowanej w Akademji krakowskiej wywołała szczerą radość u wszystkich mających na sercu rozwój sztuki polskiej, zwłaszcza najmłodszej jej gałęzi, przemysłu artystycznego. Sam fakt kreowania nowej katedry, tak bardzo jednej z najgorętszych potrzeb artystycznych naszego społeczeństwa odpowiadający, wysoce jest pomyślny — a doprawdy trudno było o człowieka odpowiedniejszego i bardziej na to zaszczytne stanowisko zasługującego! Bo choć prawdziwie renesansowa twórczość Wyspańskiego, malarza, rzeźbiarza i poety zarazem, w tych wszystkich kierunkach niepospolicie już się przed nami zarysowała, to jednak wiadomo jest wszystkim, że w tej potężnej organizacji artystycznej, nieraz nawet może ze szkodą stron innych, zawsze element malarsko-stylizatorski na plan pierwszy się wysuwał. Któż nie zna jego cudownej polichromji franciszkańskiego kościoła w Krakowie, jego potężnych witraży i kartonów witrażowych, choćby tylko św. Franciszka i nagrodzonego przez Akademję umiejętności Kazimierza Wielkiego, jego niezliczonych a tak pięknych i wytwornych pomysłów zdobniczych, rozproszonych na kartach dawnego „Życia“ krakowskiego, a choćby tylko tych czarodziejsko-stylizowanych kwiatów, w które ostatnie wydanie poezji L. Rydla tak niezrównanie przyozdobił! We wszystkich tych pomysłach tkwi siła i śmiałość, potężny polot wyobraźni, czar oryginalny i głęboki, technika mistrzowska; znać w nich znajomość wszystkich ostatnich rezultatów całego współczesnego zdobnictwa, ale znać przedewszystkiem zerwanie z wszelkim utartym szablonem konwencjonalnym i śmiałe dążenie naprzód do stworzenia czegoś nowego i własnego. A poza tem posiada Wyspiański, jak mało kto u nas, znajomość ogromną i umiłowanie naszej artystycznej przeszłości, kultury historycznej Polski i jej rodzimego ducha; świadczą o tem wymownie według badań i pomysłów jego odnowiona (nie przez niego samego, niestety) polichromja kościoła św. Krzyża, tej perły kościołów krakowskich, oraz prace archeologiczne w publikacjach Akademji umiejętności pomieszczane. Więc z radością serdeczną wita ogół miłośników sztuki polskiej, nowego profesora, bo głęboko przekonany jest o tem, iż ten „profesor“ najlepszą mu daje rękojmię, że pod jego przewodnictwem ci młodzi, w których ręku

„jutro" zdobniczej sztuki polskiej spoczywa, żywem słowem i żywym przykładem jego zagrzani, nie zasklepią się w martwym kanonie bezdusznych reguł i przepisów akademickich, ale głęboką jego miłością i znajomością sztuki prowadzeni, niestrudzenie naprzód, ku stworzeniu własnej, więc p o l s k i e j s z t u k i podążać będą.

A. C.

*

Znowu polemika. No i stało się nieszczęście. Jak było do przewidzenia, angielsko-skandynawsko-malajsko-holenderskie „złowróżbne wardałaki" Tooropa, okazały się w samej rzeczy złowróżbnemi — dla prof. Antoniewicza. Nie zaprotestowano wprawdzie, na szczęście, przeciwko ich wystawieniu, ani ze strony peczeniżyńskiego klubu filatelistów, ani ze strony kongregacji św Zyty, która w swoim czasie protest przeciwko „Legendom" *in corpore* podpisała, ale oto natomiast duch buntu, który już od pewnego czasu pierś wojowniczą p. Agustynowicza rozpierał, zadął głośno w surmy opozycji — i w bój bezkrwawy wyruszyli rycerze. Więc najpierw stanął w szrankach p. Augustynowicz. Przeciwnik wprawdzie nie stawił się osobiście, ale oto na tarczy swojej godło „Sztuka dla Buczacza" wypisawszy, zastępstwa nieobecnego bohatersko podjął się p. Makarewicz. Zaszczękały oręże, zwarli się zapaśnicy, polały się strugi... drukarskiego czernidła — i wreszcie na placu boju ostał się zwycięsko p. Augustynowicz, niby drugi Achilles, wlokąc za sobą po pobojowisku zwłoki zamordowanego... Bogu ducha, a p. radcy Krechowieckiemu posłuszeństwo winnego recenzenta „Gazety lwowskiej". A rezultat? Oto naród dowiedział się, że jeżeli prof. Antoniewicz nie zostanie ukamienowany, na pal wbity i poćwiartowany, sztuki... lwowskiej nie będzie — że, jeżeli lwowskie T. P. S. P. rocznie dwunastu tysięcy koron dokładać nie zechce, to Kołomyja, Tarnopol, Złoczów, Buczacz, Pikulice i Nechrybka, przez długie wieki jeszcze pozbawione będą kultury i możności oglądania Brandtów, Gallenów, Tooropów i.. Augustynowiczów u siebie, a swych reprezentantów w „Ilustracji polskiej" — że „secesję" we Lwowie mieć będziemy zawsze, chociażbyśmy mieli mieć jednego tylko malarza, p. Augustynowicza; dowiedział się, że nietylko w Krakowie malarze piszą dramaty, ale i we Lwowie urządzają „sztukę u nas" każdy na swój sposób, że mają dowcip taki nasz, swojski (z nieuniknionem pokazaniem języka) i że „mimo wieków przedziału i lądów, nie brak ateńskich nam prądów i trądów".

A. C.

NOTATKI. *Położenie robotników w Krakowie,* napisała Dr. Zofja Daszyńska-Golińska. Ta bardzo zajmująca rozprawa jest wynikiem wywiadów (ankiety), zarządzonych przez prywatny komitet z ramienia krakowskiego Związku robotniczych stowarzyszeń zawodowych. Poznajemy z niej dokładnie warunki pracy robotników ukwalifikowanych w Krakowie, dowiadujemy się, ile wynosi godzin dziennie czas pracy w każdym zawodzie rękodzielniczym, dalej o wysokości płac, o stosunkach warstatowych, o położeniu uczniów, o sezonach przymusowego bezrobocia z powodu braku pracy, o chorobach zawodowych.

Ponury to doprawdy obraz, który roztacza się przed czytelnikiem, z mnóstwa pracowicie zebranych szczegółów. A jednak, kto nie obawia się, aby mu to popsuło trawienie i drzemkę poobiednią, ten powinien przypatrzyć się bliżej tym smutnym cyfrom, gdyż wtedy dopiero oceni należycie i uszanuje tę ciężką, nieustanną pracę, śród zabójczych warunków, śród głodu i nędzy i przekona się, że stworzenie dogodniejszych warunków dla naszego przemysłu, zapewnienie popłatniejszej pracy tysiącom robotników, to obowiązek serca i obowiązek sumienia.

W szczegóły tu wdawać się nie możemy. Wspomnimy tylko, jako rys wielce charakterystyczny, że dola i zarobki drobniejszych majstrów rękodzielniczych wcale nie jest lepszą od losu ich czeladzi. Są warstaty, w których majster dłużej jeszcze po nocach pracuje, niż jego czeladnik, a zaledwie bardzo nędznie rodzinę wyżywić zdoła. To też nieraz samodzielni majstrowie zwijają warstat i powracają w szeregi czeladników,

Po większych zakładach panuje niesłychany wyzysk sił ludzkich. Są zawody, w których pracuje się po 16 i 17 godzin dziennie, a chwilowo nawet i dłużej.

Wieczorna nauka w szkołach przemysłowych, nie przynosi terminatorom absolutnie żadnej a żadnej korzyści, gdyż zmęczeni pracą, żądni wytchnienia i snu, nie są w stanie skupić uwagi.

Suchoty grasują u drukarzy, introligatorów, piekarzy, kamieniarzy i. ślusarzy. Zapalenie ócz zdarza się często u piekarzy, kamieniarzy i ślusarzy, reumatyzm i porażenia u murarzy.

Stosunki zarobkowe i hygieniczne u robotników żydowskich są jeszcze znacznie gorsze, niż u robotników chrześcjańskich.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8